

Robert Piłat

Entropia w małej demokracji

W pierwszym roku nowej Polski dzieci, które w wielkiej ilości przyszły na świat w stanie wojennym, dorosły do szkoły. Z większym lub mniejszym szczęściem przebrnęły przez kosztowne przedszkola, gdzie wrzeszczały na nie przedszkolanki rozeźlone koniecznością odrywania się od przedpołudniowych seriali. Maluchy, ze zrozumiałą ekscytacją, szykowały się do szkoły, w której nie trzeba będzie leżakować. Rodzice podsycali ten zbożny zapal, ale pomiędzy sobą wymieniali ponure prawdy o szkole. Przypomnieli sobie własne gomulkowskie „tysiąclatki”, zasmrodzone papierosami ubikacje, demonicznych dyrektorów, przerośniętych z ostatnich ławek, gitowców, mleko z kozuchem, połamane drabinki gimnastyczne, nudę. O nie, nasze dzieci nie pójda do takiej szkoły! I rzeczywiście – bo żyliśmy już w innym kraju – wiele nie poszło. Powstało Społeczne Towarzystwo Oświatowe (STO), a pod jego parasolem liczne szkoły społeczne. Statuty tych szkół zawierały, niczym w pigułce, całą wymarzoną polską demokrację. Jeszcze nie mieliśmy jej w całej pełni w kraju, ale chcieliśmy ją mieć w szkołach. Takie wyrażenia jak „walne zebranie”, „quorum”, „wybory”, „komisja rewizyjna” „kompetencje zarządu” nie schodziły

z ust. Grupy rodziców zakładały koła STO. Walne zgromadzenia członków tych kół wybierały zarządy, które z kolei rozpisowały konkursy na dyrektorów szkół. Wybrany dyrektor podpisywał umowę z STO i razem z zarządem gromadził kadrę. Jednocześnie zarządy dokonywały cudów finansowo-prawnych w celu zapewnienia szkołom lokali, a rodzice znosili coraz to nowe pomysły edukacyjne. Wszystko wydawało się możliwe.

Był to romantyczny okres nowego szkolnictwa. Wertowaliśmy polskie i zagraniczne publikacje pedagogiczne i programy edukacyjne. Nagle wszyscy stali się pedagogami, prawnikami, administratorami. Języki bolały od tłumaczenia różnym ludziom, w kraju i zagranicą, o jakie szkoły chodzi. *What kind of school is this? Well, I'd say, it is a community school.* Trudno było o właściwy przekład, bo termin *community school* miał jednak inne znaczenie. Wiązał on szkołę z lokalną społecznością i własnością komunalną. W tym sensie nasze szkoły społeczne nie były *community*. Trzeba by je raczej nazwać prywatnymi, ze stowarzyszeniem jako właścicielem. To jednak nie zgadzało się z naszą świadomością. Słowo „społeczne” zdawało się nabierać nowego znaczenia. Uważaliśmy, że

szkoła należy do „społeczności rodziców, nauczycieli i dzieci”. Wyobrażaliśmy sobie szkołę jako wehikuł nowych czasów, których znakiem firmowym była przede wszystkim demokracja. W tej sytuacji wielkiej wagi nabierała kwestia, czy uda nam się zbudować dobrze funkcjonującą demokrację w granicach owej niewielkiej społeczności (100–150 rodzin) składających się na średniej wielkości szkołę społeczną. Ponieważ w tamtym czasie, razem z innymi, zakładałem, propagowałem, dyskutowałem, wybierałem, pisałem programy, a przede wszystkim prowadziłem liczne walne zebrania, chcę – łącząc w pewnej proporcji nostalgię, gorycz i trzeźwy namysł – opisać jak rzecz wyglądała w praktyce i zastanowić się nad przyczynami.

Oto nasza przykładowa szkoła istnieje już jakiś czas. Dzieci uczą się w małych klasach. Nauczyciele są młodzi i na ogół kompetentni. Ale pojawiają się problemy. Pani dyrektor zwolniła lubianą przez dzieci nauczycielkę polskiego. Krążą plotki, że podobno zwolniła się sama i przeszła do szkoły, która płaci lepiej. Rodzice pytają jedni drugich: Ile właściwie zarabiają u nas nauczycie? A ile zarabia pani dyrektor? Co? Tak dużo? Sam chciałbym tyle zarabiać. A czesne ciągle rośnie. Kiedy ostatnio rozdawano rozliczenia budżetu? Dlaczego wciąż nie jest zakupione wyposażenie sali gimnastycznej? Podobno prezes spółdzielni, od której wynajmujemy lokal, znowu podniósł czynsz. To jasne, on chce nas wykurzyć. A właściwie, jakie są te nowatorskie metody nauczania. Syn mojej znajomej chodzi do państwówki i tam są już dalej z programem. Podobno ci z siódmej palą i nikt nie zwraca uwagi. A w ogóle, to niektórych nie powinni przyjmować; to nie jest prywatna szkoła, żeby wystarczyło zapłacić.

Zbiera się zarząd i przegłosowuje wniosek, że sprawy dojrzały do walnego zebrania. Pojawia się Prowadzący („Pan ma spokojny charakter, niech pan poprowadzi to zebranie”). W przeddzień siedzi nad kartką papieru i sporządza listę kwestii do poruszenia. A zatem: wystąpienie pani dyrektor, sprawozdanie finansowe, uzasadnienie podwyżki czesnego, rozwianie plotek o eksmisji szkoły z bu-

dynku spółdzielni, informacja o zasadach wynagradzania nauczycieli, sprawa sprzętu sportowego, prośba o szukanie sponsorów, wybory uzupełniające do zarządu z powodu ustępującego pana Z. Wybija siedemnasta. Schodzą się rodzice. Stoją na korytarzu przed drzwiami sali gimnastycznej, palą papierosy i rozmawiają w małych grupkach osób znających się z osiedla, przedszkola czy zebrani klasowych. W końcu większość wchodzi, siadając, jak uczniowie, jak najdalej z tyłu. „Proszę Państwa bliżej. Czy możecie Państwo zawołać palaczy z korytarza? Dziękuję”. Trzy osoby wychodzą szukać spóźnialskich. Przez dłuższy czas nie ma ani ich, ani spóźnialskich. Wreszcie zaczynamy. Wygląda na to, że przyszło bardzo mało osób, nie będzie quorum. Prowadzący wymienia nerwowe uwagi z przewodniczącą zarządu. Na szczęście, w pięciominutowych odstępach wchodzi kolejni spóźnieni. Pani dyrektor przedstawia optymistyczny obraz szkoły. „Czy są jakieś uwagi?” Cisza. Kolej na wyliczenia finansowe i uzasadnienie podwyżki czesnego. Znowu cisza. Wygląda na to, że wszystko pójdzie gładko i rozejdziemy się do domów. Trzeba jeszcze wybrać członka zarządu. „Proszę o zgłaszanie kandydatur”. Nikt nikogo nie zgłasza. „Śmiało, proszę państwa, jeszcze nie było nikogo z pierwszej klasy. Zapraszamy do współpracy”. Rozlegają się żarciki, wypychane są różne osoby. Jedna z potencjalnych kandydatek opiera się twierdząc, że nie jest jasne, co właściwie robi zarząd, jaki jest podział kompetencji w szkole. „O ile mi wiadomo, to powinna istnieć komisja rewizyjna, czy mamy komisję rewizyjną”. Pani dyrektor wyjaśnia, że tak i nie. „Komisja była wybrana, ale się jeszcze nie zebrała”. „No właśnie” – powiada potencjalna kandydatka do zarządu. „Ależ proszę Państwa, wszystko zależy od Państwa. Wszystkie dokumenty są do wglądu” – opowiada pani dyrektor. Odzywa się głos z sali: „Mam pytanie: Jak to właściwie było ze zwolnieniem pani polonistki? Dlaczego najbardziej lubiana nauczycielka nagle odchodzi”. Inny głos: „Niech pan nie przesadza, ta pani stawiała dobre stopnie, więc była lubiana, ale trzeba myśleć o egzaminach, a nie tylko o dobrym samopoczuciu dzieci”. Inny głos: „Zapisałam dziecko do tej szkoły, bo liczyłam

właśnie na to, że będzie nastawiona na ucznia, w przeciwieństwie do szkół państwowych. A teraz słyszę, że liczą się tylko egzaminy". Inny głos: „No tak, jeśli się myśli tak jak pani, to nic dziwnego, że kiedy mówię znajomym, że moja córka jest w szkole społecznej, to pytają z lekceważeniem, czy tam czegoś uczą, czy tylko przechowują rozpieszczone dzieci". Inny głos: „No właśnie, a czy tak nie jest? Weźmy ostatnią wycieczkę. Wiem, że działy się tam rzeczy skandaliczne. Chłopcy palili i wyrażali się wulgarnie prawie w obecności nauczycieli". Inny głos: „Całkowicie się zgadzam. Czy to jest normalne, żeby zabierać dzieci do „Piwnicy Pod Baranami" na spektakl o dziesiątej wieczorem? W dodatku były tam rzeczy obsceniczne. Wypuściliśmy dzieci na wycieczkę w góry, żeby trochę odetchnęli po nauce a nauczycielka zabiera ich w Krakowie do „Piwnicy Pod Baranami". Inny głos: „Ależ proszę pani, jedyne, co mój Marcin pamięta z wycieczki, to „Piwnica Pod Baranami". Poprzedni głos: A to już pana sprawa i pana syna. A ja sobie nie życzę”.

Przewodniczący nawołuje do dyscypliny i trzymania się tematu. Ale co jest tematem? Zapada chwila ciszy. Lukę wykorzystuje Urodzona Działaczka. „Proszę Państwa. Stoimy przed niepowtarzalną szansą stworzenia szkoły opartej na demokracji i tolerancji. Dla dobra naszych dzieci. Aby ta szansa się urzeczywistniła, trzeba wykazać się aktywnością. Wykorzystajmy prywatne znajomości i swoje zawodowe kompetencje, żeby zapewnić naszej szkole lepsze warunki działania. Powinniśmy powołać fundację, która pozwoli nam prowadzić działalność gospodarczą i komisję zajmującą się szukaniem sponsorów. Na pewno wiele z Państwa pracuje w instytucjach, które mogą pomóc. Zgłaszam wniosek o powołanie fundacji i komisji". Przewodniczący: „Zostawmy te interesujące wnioski na później. Musimy skończyć wybory uzupełniające do zarządu". Głos z sali: „Chciałem wrócić do sprawy rozliczeń finansowych. Jest tam pozycja: środki czystości. Proszę Państwa, ile można wydać w ciągu roku na Ludwika? To się w głowie nie mieści". Inny głos: „Ten pan ma rację. Tyle pieniędzy na Ludwika? A w ogóle nie powiedziałabym, żeby w szkole było specjalnie czysto”.

Pojedyncze osoby, a potem całe grupki, wymykają się z sali. Przewodniczący nawołuje do przeprowadzenia wyborów. Wreszcie jest kandydat. Kiedy jednak dochodzi do głosowania okazuje się, że nie ma już quorum. Zarząd będzie działał w niepełnym składzie. Ktoś zgłasza się do grupy szukającej sponsorów. Ktoś mówi, że zna się na fundacjach i gdyby przyszło co do czego, to może pomóc. Ale zebranie jest już w stanie rozpadu. Ktoś porusza sprawę posiłków w szkole. „Miały być jogurty, a nie ma". „Ależ proszę Państwa" – odpowiada pani dyrektor – „dzieci nie chciały pić jogurtów". Sala pustoszeje. Dobiega sceniczny szept: „A ten pierwszy zarząd, to kto właściwie wybierał. Wszystko to sitwa". Szcątkowy zarząd z roztrzęsioną panią dyrektor chowają papiery i wynoszą prezydialne stoliki. Na korytarzach snuje się papierosowy dym. Trzeba przewietrzyć. Jutro dzieci przychodzą do szkoły.

Dziewięć lat później czytam pasjonującą książkę Mariusza Wilka „Wilczy notes". Autor mieszka w Rosji na Wyspach Solowskich. W jednym z rozdziałów opowiada o lokalnych wyborach: „Tak więc zobaczyłem powijaki demokracji na Solówkach. Naród zafermentował jak braga. Muzyki w bani spiskowali po sobotach, baby w sklepach wieczowały, czekając na chleb, czynownicy zwarli się i zaparli się, nowi ruscy solowieccy skupowali głosy za pół litra, weterani gardłowali i skakali sobie do oczu, każdy knuł na własny rozum i nawet w staruchy, co do mogiły już były gotowe, raptem bies wstąpił, polityczny". I dalej: „Ich programy wyborcze? Kupa śmiechu. (...) N. proponuje budowę wiatraków. Bo ekologicznie czyste, przyszłościowe, i, dalibóg, może dolary by dali. Kto? Bo ja wiem, Norwegowie, Solżenicyn, cerkiew prawosławna? (...) B. obiecuje nam *małyszka*, czyli mały reaktor atomowy (...) w klubie, gdzie urządzono »okrągły stół« dla wszystkich kandydatów naraz, naród się nie patyczkował (...) Jakim prawem Lew R. łączy pracę w administracji z prywatnym biznesem? Kto dał Lubie G. prywatyzować municypalny hotel (...) Dlaczego N. kupił

sobie dom w Orle z funduszu dla weteranów?
(..) Gdzie się podziały miliardowe dotacje?"

Jak widać, nasze początki demokracji nie były aż tak odmienne. A przecież wielu z nas sądziło – jakże naiwnie – że mała, lokalna demokracja jest stanem przyrodzonym człowieka i rozkwitnie natychmiast po ustaniu zewnętrznych przeszkód. Tak się nie stało. Dziesiątki osób opowiadało mi podobne do powyższej historii o zebraniach szkolnych, wyborach, posiedzeniach. W wielu uczestniczyłem sam. Wszędzie powtarzał się ten sam mechanizm. Magiczne hasła demokracji „wybory”, „sprawozdanie finansowe”, „uchwalenie statutu” są jak kamyki wrzucone do roztworu, w którym z początku następuje krystalizacja. Zebranie konstituuje się, a potem stopniowo rozpada, jakby ogarnięte przez nieublagane prawo entropii. Dlaczego tak się dzieje? Wchodzi tu w grę wiele fałszywych przesłanek, złych rozumowań i brak demokratycznych nawyków. Wymieniając te defekty myślenia i postaw będę trzymał się mojego szkolnego przykładu.

Rzucającą się w oczy przyczyną jest **pomieszanie perspektywy indywidualnej i społecznej**. To pomieszanie prowadzi do niewłaściwego rozumienia zarówno interesu indywidualnego jak interesu zbiorowego. Fałszywa przesłanka jest następująca: „Jeśli szkoła jest w porządku, to mojemu dziecku powinno dobrze iść (nauka, relacje z rówieśnikami itd.) i powinno być zadowolone”. Jednak rodzic zauważa, że dziecko nie radzi sobie i jest niezadowolone, a zatem szkoła jest do niczego. Przesłanka jest nieprawdziwa, ponieważ własności instytucji, takich jak szkoła, nie przekładają się automatycznie na satysfakcję indywidualną. Hołdowanie takiemu przekonaniu uniemożliwia zrozumienie, co to są właściwie rozwiązania strukturalne, czym się różnią zasady od realizacji zasad, oraz które działania obliczone są na skutek natychmiastowy, a które na skutek odroczoney. Rzecz ma szerszy kontekst, mia-

nowicie, ulubione w dyskusjach, posługiwanie się przykładami w roli argumentów. Przykład uważa się za *Roma locuta causa finita*, gdy tymczasem siła przykładu zależy przecież od rodzaju związku pomiędzy nim a ogólnym przekonaniem. Najczęściej przytaczane przez ludzi przykłady w ogóle nie uszczegółwiają ogólnej konstatacji czy przekonania, ale są tendencyjnymi skojarzeniami. Krótko mówiąc: o czymkolwiek by się nie mówiło, pewna grupa ludzi wstanie i powie: „A mój Marcin, w zeszłym miesiącu...”.

Antypodą „mojego Marcina” jest **jałowa ogólnikowość**, czyli podnoszenie każdego szczegółowego problemu do sporu o pryncypia. „W szkole jest brudno, bo dzieci nie są w domach uczone, że porządek w otoczeniu jest związany z ładem wewnętrznym”. „Na zebraniu jest bałagan, bo nie rozumiemy istoty demokracji”. „Pani od matematyki ocenia zbyt surowo, bo nie ustaliliśmy, czym właściwie jest szkolna ocena”. „W szkole niewiele się dzieje, bo brakuje zaangażowania i zrozumienia, że wszystko zależy od nas”. I tak dalej, i tak dalej.

Następna głowa smoka zżerającego małą demokrację nazywa się **bezradność w sytuacji niejednomyslności**. Rzadko zdarza się, by strony jakiegoś sporu przedstawiły swoje racje, potem wysłuchały racji strony przeciwnej, a jeszcze potem poczekały, jaka będzie demokratyczna decyzja ogółu. Strony powtarzają swoje argumenty jeszcze raz w nowej wersji, i jeszcze raz, praktycznie dopóty, dopóki nie przerwie się tego przemocą. Kryje się w tym nie tylko chęć posiadania ostatniego słowa, ale również chęć wymuszenia jednomyslności. Błędna przesłanka polega tu na przekonaniu, że decyzja zbiorowości oparta na jednomyslności (co implikuje całkowite przekonanie wszystkich opornych) jest decyzją najdoskonalszą. Wszystkie inne decyzje to tylko zło konieczne. Fałszywość takiego stawiania sprawy płynie stąd, że nie każda kwestia pozwala na jednomyslnność, niezależnie od tego jak skuteczne jest przeko-

nywanie. Tam gdzie istnieje sprzeczność interesów, jedności być nie może, tym niemniej decyzję trzeba podjąć. Poza tym nie dostrzega się, że dążenie do jedności w sytuacjach sprzecznych interesów musi prowadzić do przemocy. Innymi słowy, jedność nie jest gwarancją ani optymalnej decyzji, ani dobra wspólnego.

Następna głowa smoka to **brak zaufania do mechanizmu wyborów**. Brak zaangażowania w proces podejmowania decyzji powoduje najczęściej brak quorum albo jedynie minimalną ilość uczestników głosowań. To sprawia, że wiele osób jest niedoinformowanych i nie zgadza się wewnętrznie z wynikiem wyborów, albo wręcz sądzą, że były manipulowane. W wypadku wyborów do władz, częstym mechanizmem jest podważanie kwalifikacji kandydatów, których się samemu zgłosiło. Jak to możliwe? Otóż kandydatów „wrabia się” używając cynicznego i poniżającego rozumowania: „Pani ma dużo czasu, bo pani nie pracuje; będzie mogła pani poświęcić zarządowi więcej czasu. Bo ja niestety mam bardzo odpowiedzialną (czytaj: bardzo dobrze płatną) pracę i nie mogę”. Trudno, żeby w tej sytuacji „wrobiony” kandydat cieszył się jakimkolwiek autorytetem. Tymczasem (truizm) demokracja potrzebuje autorytetu władz wybieranych.

Podważanie sensu wyborów ma swój szerszy kontekst w **braku społecznego zaufania**. Na wszelkiego rodzaju zebraniach notorycznie imputuje się innym uczestnikom złe intencje. Węszy się prywatę, spiski, sitwy, stosuje argumenty *ad hominem*. Za tymi zachowaniami stoi lęk przybierający niemal psychotyczny charakter. Boimy się manipulacji, oszustwa, czyichś niesprawiedliwych korzyści, czyjegoś sprytu polegającego na dostrzeżeniu czegoś, co umknęło naszym oczom. Czyjś sukces zamienia się w bolesne przypomnienie własnej nieudolności. Co za tym stoi? – to pytanie nurtuje uczestników. Ostatnią odpowiedzią, jaką zaakceptują, bę-

dzie ta, że „A” znaczy A a „B” znaczy B i że nic za tym nie stoi.

Ostatnia głowa smoka nazywa się **brak kultury demokratycznej**. Jest to wada postawy uwarunkowana historycznie, której nie można sprowadzić do indywidualnych postaw, błędnych rozumowań i fałszywych przesłanek. Najlepiej wyraża ją następująca uwaga naszego filozofa, psychologa i działacza społecznego Edwarda Abramowskiego: „Jeżeli lud szwajcarski z takim logicznym uporem broni swych urzędzeń demokratycznych wobec różnych uroszczeń rządu centralnego, jeżeli potrafił rozszerzyć je do najdalszych granic wolności politycznej, to pamiętajmy, że jego obrona demokracji była to obrona swego własnego życia. Konstytucja polityczna, którą stworzył, posiada swą przyrodzoną szeroką podstawę: tysiące najrozmaitszych zrzeszeń, kół i związków; tysiące samorodnych organizacji gospodarskich, handlowych, robotniczych, kulturalnych, zwyczajnie demokratyczne (...), sumienie obywatelskie (...). Wszystko to stanowi kulturę demokratyczną, pierwszy i niezbędny warunek demokracji i samodzielności politycznej. Lud polski takiej kultury nie ma dotychczas”. Innymi słowy, w sytuacji rodzącej się demokracji widzimy, jak forma demokratyczna nakłada się na żywioł zgola jej obcy. Ten pogrążają w rozpędzie i chaosie kolejne demokratyczne usiłowania dopóki te nie zrodzą pewnej rzeczywistości, czyli silnego związania żywotnych interesów („swego własnego życia”) z demokratyczną formą sprawowania władzy i podejmowania decyzji.

Brak lub niedowład kultury demokratycznej odczuwa się zarówno u zarania demokracji, jak i w sytuacjach kryzysowych. Pisze o tym interesująco J. Goldfarb w *The Cynical Society*. Autor polemizuje z tymi krytykami demokracji amerykańskiej, którzy widząc słabość demokratycznych instytucji, wysuwają teorie pokazujące nieuchronność tych słabości. Innymi słowy krytycy ci – w imię swoich

teorii – żywią cyniczną *Schadenfreude*. Tymczasem – powiada Goldfarb – źródłem siły demokracji są rozpowszechnione w społeczeństwie wartości demokratyczne, a nie te czy inne instytucje demokratyczne. Sądzę, że pojęcie wartości demokratycznych u amerykańskiego socjologa zawiera w dużej mierze tę samą treść, co pojęcie kultury demokratycznej u Abramowskiego.

Opisałem, jak rozpada się mała struktura demokratyczna – walne zebranie rodziców szkoły społecznej. Oczywiście takie zdarzenie nie oznacza zaraz upadku instytucji. Dochodzi do kolejnego zebrania, odbywają się w końcu wybory, ofiarni rodzice pomagają załatwiać

pilne sprawy, niezależnie od tego, czy są w zarządzie, czy nie. Pozostaje jednak rozpowszechniona niewiara wyrażająca się w sądach: „Po co ta cała demokracja. Tu trzeba mocnego dyrektora”, albo „Wszystkie te społeczne szkoły prędzej czy później zamienią się w prywatne”. Nie podzielam tych sądów z powodu wyluszczonego przez Abramowskiego: tylko trwanie przy wątpliwych i rozsypujących się co chwila instytucjach demokratycznych może w końcu wytworzyć demokratyczną kulturę. ●

„Res Publica Nowa” 1999 nr 4